Nr. 22. **Kuryerek Poznański.** Rok I.

Kuryerek Poznański wychodzi dwa razy na tydzień, w Środę i w Sobotę. — Prenumerata kwartalna wynosi 22 sgr. 6 fen. Inseraty 1 sgr. od wiersza.

Poznań, dnia 28. Czerwca 1865.

Zamiejscowi prenumerować mogą na pierwszy kwartał tylko w księgarniach, miejscowi w biórze redakcyi Kuryerka Poznańskiego, ulica Strzelecka Nr. 1.

Po skończonym kwartale wzywa wydawnictwo Kuryjerka Poz. Szanownych swych abon. do licznego i do wczesnego abonowania się na pocztach, abyśmy wiedzieli w ilu eksemplarzach pismo nasze ma się kazać drukować. Z rozpoczęciem nowego kwartału szanowni abonenci Kuryjerka Poznańskiego zapisywać mogą na wszystkich pocztach pruskich, cena dla miejscowych pozostała ta sama, dla zamiejscowych wynosi 1 Tal. 2 Śgr. 3 Fen. — Ponieważ dla nie jednego z naszych czytelników, cena ta może nię zdawać zbyt wielką, dla tego z rozpoczęciem kwartału Kuryjerek Poznański będzie wychodzić w większym formacie. Program nasz zostanie jeden i ten sam, w łamach tylko Kuryjerka Poznańskiego będziem czytelnikom dawać w krótkim streszczeniu pogląd na ważniejsze wypadki świata politycznego. W końcu niepozostanie nam nic, jak tylko podziękować szanownym naszym abonentom za zaufanie jakiem nas obdarzyli i przeprosić ich może, za troche niegrzeczne narzucanie się z naszem pismem; aleć kto zna nasze obecne stusunki ten nam za złe tego wziąść nie może. Pracując sumiennie dla podniesienia oświaty narodowéj między klasą średnią, mamy poniekąd prawo odezwać się do poczucia narodowego i do względów szanownéj publiczności. Czyśmy zawiele obiecali, czyśmy odstąpili aby w jednym wierszu od sztandaru narodowego? niech nas sądzi Bóg i bezparcyalna czytająca a zwłaszcza **myśląca** publiczność polska.

Przejazdka z Poznania
do
Wiednia, Tryestu i Wenecyi.

przez M. Br....

Nikt nie zaprzeczy że podróże nie tylko wielką sprawiają przyjemność, która się przez duch przypomnienia i wyobraźni w długie rozciąga czasy, ale, tak jak ludzie przez udzielanie się sobie zobopólnie wykształcają swój rozum i z niego płynącą mowę, to wzniosłe znamie ludzkości, tak i udzielanie się sobie rodów i narodów przez podróże, nie tylko w ogóle kształci, ale służy do rzetelnego poznawania się, do wykrywania prawd, nawet takich, które przez złe wpływy zewnętrzne nieraz tajemnicą były, lub oszczerczo wykrzywiane bywały. Ważność tę zawsze podróże miały; ale przy trudnych sposobnościach odbywania ich, a nawet i zwykle, ograniczały się na wielkich panów, którzy często mieli wiele środków pieniężnych, ale mało usposobienia do prawdziwego zapatrywania się na rzeczy, i chwytając tylko błyskotki, zbierając tylko szumowiny, zamiast powracać posileni pokarmem duszy do rodziny swojéj, powracali wycieńczeni na szkatule, wyzuci z miłości wspólnéj swéj Matki i swych braci, często nawet zniszczeni na zdrowiu, aż i wkrótce zniweczeni na życiu. Brak wykształcenia stawał się często źródłem fałszywego zapatrywania się na rzeczy, a następnie wymysłów bajecznych, tak że wojażer i kłamca często były wyrazy blisko znaczące. Może niejednemu wpadnie na myśl ów wojażer co na „słowo honoru" zarzęczał, że tam gdzieś w Alpach znajduje się echo, co, jak kto kichnie, odpowiada natychmiast „a notre santé." — Ta możność zmyślania, a przynajmniéj wykrzywiania prawdy, minęła, kiedy przy łatwości i taniości podróżowania, wojażer taki, lubiący same Merveilleux, bardzo łatwo natrafia na rozsądnego podróżnika, który go na tór prawdy sprowadzić zdoła.

P. Stangen, w Wrocławiu, znany ze śmiałego ducha przedsiębiórstwa, ten sam, który pierwszy usystematyzował w Wrocławiu instytut usługaczy publicznych (Packträger-Institut), który to instytut znalazł w Berlinie, w Poznaniu, itd., bardzo użyteczne naśladownictwo, wymyślił i skojarzył już po kilka razy towarzystwa do wspólnego odbywania podróży w znacznie oddalone, a mające jakową ważność, miejsca. Tak też w początku Lipca 1864 wezwał do dołączenia się ku odbyciu wspólnéj podróży do Wiednia Tryestu i Wenecyi. Tryest ma przez sam swój pierwszy zaród historyczną wartość: jakoż przy konaniu potęgi zachodniego państwa Rzymskiego zespoliły się, przez strach, w kończynie Włoch, na pierwszym krańcu Słowiańszczyzny, poniekąd u dołu Germanizmu, trzy te w istocie różnorodne żywioły, italski, słowiański i germaniczny, i powstało Trigestum, albo Tergestum, jako się dotąd dawna część miasta tego nazywa. Ale Tryestma ma i nowożytną ważność kiedy jest naczelnym portem, nietylko nawigacyi austryackiéj, ale i wolnéj dla wszelkich okrętów, sam zaopatrzony Luoydem do budowania żelaznych i innych okrętów pierwszego rzędu. Wenecya przyciągała nietylko przez szczególne swoje położenie na samem morzu, ale już i przez filozoficzne przypomnienie sobie owéj kolossalnéj potęgi Wenecyan i ich Dożów, a może i przez ciekawy pogląd jaka jest bliska przyszłość téj prawicy Włoch. To też zebrała się do téj podróży Tryestsko-Weneckjéj wielka liczba uczestników z Berlina, od Berlina, ze Szląska i z Poznańskiego. Z Pozna-

nia samego mały udział może dla nieudolności agentury. W poniedziałek dnia 18go Lipca zebrała się w Wrocławiu na dworcu kolei żelaznéj Poznańsko-Górnoszląskiéj raniutko wielka moc ludu. O piątéj gwizd i jazda. Co parę kwadransy pogłaszanie przewodników „Stacion ..!‘ (eine Minute Aufenthalt). Aż w Koźlu wypoczynek i sniadanie, aźe 20 miniut. W Odrogórzu (Oderberg) powitanie władz austryackich i celników, w celu, pomimo „Zollvereinu,“ wyśledzenia jakiego towaru zakazanego, nieżywotnego czy żywotnego; a po nieodkryciu nic zapowietrzonego, swobodna jazda do Prerau Tamże 20 minut ku wypoczynkowi i naprawie żywota przez łapankę pokarmów i wypitków.

Już na wieczór o IX w Wiedniu, Hotel nationale, na ulicy Tabor, i Hotel de Hamburg, obadwa niedaleko słynnego Szperla na „Szperlanéj“ ulicy, były głównie przeznaczone na pobyt i na rendez-vous dla podróżników; ale i gdzie indziéj rozbiegli się przybylce. Czterech z nas zaniosły fata na plac św. Piotra, w bliskości wieży św. Szczepana, do Wandla hotelu pierwszego rzędu: dano nam po jednym przepysznym pokoiku. Nie będę opisywał wygód i cośmy jedli, jak to wielu podróżników nasamprzód opowiada: boć i u nas jest gdzie mieszkać i jest co jeśdź, a my nie mówimy „ubi bene, ibi patria,“ tylko „wszędzie dobrze, a najlepiéj w domu.“ Nie będę téż opisywał osobliwości Wiednia, bo te są w ogóle znane, a przynajmniéj w wielu książkach wyliczone znaleźć można. Nie będę opowiadał o przepychach w kościołach; i kościół wystawiony ku prawdziwéj czci Boga Najwyższego, z ozdobami cnoty i szczeréj miłości bliźniego, w małem serduszku człowieka, miły zapewne jest Bogu, i często milszy niżeli olbrzymie w naszych oczach gmachy, z marmuru i kosztownych kruszców, jeżeli są wynikiem czczéj próżności człowieka, a nie wyobrażeniem wielkości Boga i zachętą do wędrowania w duchu Bożym.

Prócz różnych posągów cesarzów i książąt niemieckich porozstawianych w Volksgarten i innych placach publicznych zasługują na wspomnienie pomniki podziemne, bo tychże wielkich panów przepyszne sarkofagi, pod kościołem Kapucynów: między niemi odznacza się kolossalny sarkofag Maryi Teressy, która to, czy powodowana świątobliwością, czy może wdzięcznością za wybawienie Wiednia, długo się wzbraniała podpisać nieszczęsny podział; aż uległa!!!

Nie daleko stąd, jakby na ironią ciszy grobowéj, również pod ziemią, ów słynny sklep Esterhazego, gdzie codzień, przez parę tylko godzin, sprzedają nektar Bachusowy rodem z Węgier; a że napój dobry i tani okazują różane półtoraczne twarzyczki i uśmiechające się oczy. Sklep wygląda uroczo, ciemny, bez obić chyba że czasem kto kogo bez winy (obije) przy winie.

Ale opuśćmy już te podziemne groby i winiarnie, a przypatrzmy się nadziemnemu grobowcowi, bo go pominąć niepodobna. Jest to w kościele Augustyanów pomnik żałobny dla Maryi Chrystyny księzniczki saskiéj, córki elektora Saskiego, a króla Polskiego, wymysłu i wykonania kanowy: ze ściany wystająca piramida z czystego marmuru kararyjskiego, w niéj otwór prowadzący do czarnego grobu, do którego anioł z przewróconą pochodnią prowadzi Dobrodziejkę ludzkości, za którą pozostają, płacząc, biedna sierotka i chromi i niewidomi ubodzy. Na stronie prawéj herb Polski, Korony i Litwy, tj. orły polskie i litewskie pogonie, a przynim lew drzymiący i Anioł pocieszenia!

Dalszy ciąg nastąpi.

Idealni.

Napisał Aleksander.

I.

Znacie wy młodość?! Dosyć patetycznie
Zacząłem pierwszą strofę poematu.
A daléj Znacie . . . — i to poetycznie —
Znacie cytryny! — woń z pomarańcz kwiatu?!
I kraj ten? — gdzie się dziewczyny, prześlicznie
Stroją — w rumieniec gorący szkarłatu?.
Czy znacie młodość i bajki o kraju
Pomarańczowym? — gdzie pięknie jak w — raju!?

II.

Daléj — pytaniem drugiem was zaczepię
Czyście słyszeli morza szum i fale?
Modrych Limanów — i ciszę na stepie? —
Czyście widzieli orła — gdy na skale
Usiądzie wolny? — lub w skrzydła zatrzepie —
By zmierzyć bezmiar tych światów — zuchwale! —
Czyście słyszeli bajki o wolności —
I wielką — odę — Odę — do młodości!? —

III.

Czyście? — . . . lecz może pęknąć strona lutni,
Jeżli ją wyżéj pół tonu nastroję —
Czyście wy kiedy kochali — i smutni
Błądzili kędy mruczące są zdroje! —
I Czy wam kiedy rodzice okrutni
Niedali marzyć niewinnie — we dwoje?! —
Pytam was oto by z wątka i treści —
Spytać was jeszcze — znacież hymn boleści?!

IV.

Boję się abym w znaku zapytania,
Nieskrył się cały — jak za mgły zasłoną,
Która powstaje z bagien — gdy świtania
Pieśń — na wschodzący ranek dzwonią
Skowronki — które wśród kurzu Poznania,
Umilknąć muszą — i w chmurach gdzieś toną —
Krztusząc się kurzem i kłębami dymu —
Jak ja — gdy czasem brakuje mi rymu.

V.

Smutna to chwila wtenczas dla poety,
Kiedy parnasu doścignąć niemoże —
Pisząc naprzykład — dla piękněj kobiety
Sonet — lub greckie opisując zorze.
Albo gdy w piękne modne tryolety
Chce zamknąć wielkich wszech światów — przestworze.
Smutne te chwile — ach! Ci tylko znają
Co wam — gdy sobie drzemiecie — śpiewają. —

VI.

Nie mówię do was — co sportmenujecie
Młodość — przy pełnym kieliszku szampana.
Bo wy bez pieśni nawet już drzemiecie
Rozkosznie — Waszą poezyą pijana

Jest Odaliska — Choć za złe weźmiecie
Jeźli ta strofa goryczą przebrana,
Trąci o wasze rękawiczki krasne.
Lecz że nie do was pisze — wszak to — jasne! —

VII.

Więc mnie zapozwać przed sąd honorowy,
Niech wam nieprzyjdzie czasami ochota, —
Za to — żem nie was dotknął temi słowy.
Wierzę — iż każdy z was jest patryota,
I dla Ojcyzny do ofiar gotowy.
Tłum tylko na was rzuca garścią błota;
Aby zbezcześcić młodość i pokalać. —
Lecz czyż was błoto jakie może zwalać?!

VIII.

Młodości sięgaj tam! . . O ty pijana
Młodości! z czasów pamiętnych Augusta . . . .
W śród Odalisek byłaś rozkochana
W Syrenach — którem na czele, rozpusta
Była głoskami bezwstydu pisana. —
Młodości twoje — koralowe usta,
Nieuśmiechają się już — nie czarują —
Lecz pocałunkiem jad szczepią — i trują

IX.

I do nas przyszłaś dzisiaj — o Młodości!
Bogini życia — W rękawiczkach białych —
Śpiewając ckliwe piosnki o miłości —
Drząc przed piorunem, burz dawno przebrzmiałych.
I snów już niemasz nawet — o wielkości
Twojéj. — Upadasz wśród skarłowaciałych . . .
A niepodniesiesz się uszlachetniona —
Bo podeptana z kwiatów twa korona! . .

X.

Dosyć! — Młodości, o ty piorunowa
Arfo Jowisza starego co drzemie, —
Wytrąć pioruny mu — i niech je w słowa
Zmieni twa siła — i rzuci o ziemię —
By rozstrzeliła się jutrzenka dniowa . . . .
I karłów nowe z olbrzymiało plemię —
Lecz poznańskiego omijaj dziennika,
Bo Ci dowiodą że masz w sercu — bzika! . . .

XI.

Więc już zaczynam strofę — Co początek
Będzie stanowić lirycznéj powieści. —
I dla niéj zbłądzę w piękny kraj pamiątek,
I z tamtąd trochę poetycznéj treści
Zaczerpnę — Aby skleić jaki wątek, —
Widzę że muza łaskawie mnie pieści
Dzisiaj — To może poemat się uda,
Który czytając wy nazwijcie — nuda.

XII.

Było to w roku . . . zapomniałem daty
Nie chronologią piszę zresztą — ale
Poemat — A więc był to rok bogaty,
Nie w modne stroje — o których żurnale
Piszą — lecz rok ten był obfity w baty,
Które nam hojnie sypali Moskale —
Rok ten z nas każdy pamięta — niedawny
Rok ten z szubienic w historyi — jest sławny!

XIII.

Zbłądziłem w przeszłość — Muzo stój! — ni kroku
Niepójdziesz daléj — Do piekła zna drogę
Dant tylko — I Werterom smutne łzy na oku
Przystoją — ja już zapłakać niemogę.
Więc w przezroczystem utonę obłoku
Marzeń — I lirę nastroję ubogą —
Niechaj niebędzie łzami uśmiechnięta —
Dla serca dosyć bólu — gdy pamięta! . .

XIV.

Dosyć — Mogiłom spokój — Z dłoni
Wypada pióro — gdy jak bluszcz się chwyta
Przeszłości — chciałem stworzyć My i Oni,
Lecz mnie wyręczył Pan Bolesław . . . — I ta
Już przeszłość minęła — Ze skroni
Zdarto mi laury — i Muza jak zmyta,
Boi się zbliżyć i dotknąć świętości —
Gdzie jeszcze świeże szkielety i kości! —

XV.

Nie lubię błądzić tam — bo to cmentarze,
Gdzie widma straszą — ja wtenczas drżę cały,
Gdy marmurowe te powstają twarze
Z mogił — Owiane aureolą chwały —
Gdy o nich we śnie jak dziecko dziś marzę,
Budzę się ze snu — i czuję żem mały . . .
Oni słyszeli spowiedź mą i żale — — —
A wami gardzę — Tłum precz! — i szakale . . .

XVI.

Więc mi nie stajcie u bramy cmentarnéj,
Budzić ich cienie — gdy niemacie siły
Podnieść się. — Tylko w swywoli bezkarnéj
Spychacie naród do wielkiéj mogiły. —
Dla krestu — albo łaski cara marnéj — — —
Tu już zamilknę — bo ten wiersz przegniły,
Wygląda jakoś za bardzo szalenie —
Wszak — i krest dobry na czułe sumienie . .

XVII.

Miałem ochotę gdym zaczął poemat.
Jaką Syrenę wykuć wam z kamienia. —
Lecz namyśliłem się, że taki temat
Mógłby podraźnić niewinne sumienia — — —
Bo wiersz ten otrółby was jak sublimat,
A ja bym musiał błagać przebaczenia
U Jezuitów. — Których niechcę trącić
Gdyż mógłbym słońce zaćmić — albo zmącić. —

XVIII.

Oni — Lecz tutaj cicho — i ostrożnie — — —
O Jezuitach, pisać niewypada,

Oni się modlą za kraj tak nabożnie!
A reszta potwarz tylko i szkarada —
Dziś u Papieża panują wielmożnie,
A kiedyś byli wyklęci — powiada
Przeszłość — Choć do niéj niemam nabożeństwa,
Muszę ją trącić — gdyż wierzę w przekleństwa . . .

XIX.

A daléj wierzę — w sądy honorowe,
Niechonorowych sędziów — i w potwarze —
A jeszcze wierzę ja w Baltazarowe
Słowa — że kiedyś upadną zbrodniarze,
I w dyplomatów naszych zdanie zdrowe —
Wierzę iż nam się taki duch ukaże,
Co będzie imię miał czterdzieści cztery.
A przedtem jeszcze wierzę w — Robezpiery —

XX.

Za taką wiarę — można iść do dziury,
Jak mówi członek dawnego wydziału — —
Lecz ja niebędę już więcéj ponury —
Chwila mnie tylko uniosła zapału —
Więc chciałem zepchnąć piorunowe chmury,
By obmyć ludziom twarz z brudu i kału. —
Wiatr tylko zmącił brud spłynęły fale —
Echo poniosło jęk mój — łzy — i żale. — —

Grób w Nowym-Yorku.

Ciąg dalszy.

Gęste, ciemne obłoki zaległy cały niebokrąg, i cisnąc skupione powietrze na przestrzeń ulękniomego morza hardy zmusiły żywioł do téj bezwładności, która najwściekléjszą zapowiada burzę. Zwolna błyskawice krzyżować się poczęły; w miéjscu zwykłych bałwanów mąciły lekkie bryzgi czarne morza zwierciadło, grom przeciągłym. straszliwym łoskotem poprzedził pierwszy piorun, za nim drugi uderzył, dziesiąty, setny, a niebo rozwarło się już jednostajnym płomienim. Szalony wicher wleciał z chychotem szatańskim, i w jednem mgnieniu oka drobne bryzgi w trzypiętrowe zamienił bałwany, zdruzgotał maszty porwał liny i okrętem pomiatał na wszystkie strony, aby go doszczętnie zdruzgotać.

Kiedy podróżni w śmiertelnym strachu z miłości życia, wrzaskiem rozpaczy zapełnili wszystkie kajuty, a do wszelkich niebezpieczeństw nawykli majtkowie; ostnie wyczerpując siły, o ratunku zwątpili, i w poszmernéj modlitwie każden Bogu polécał zwoję duszę; kiedy starzy żeglarze przy bratnich uściskach łzę ronili, na pokładzie okrętu stała milcząca kobieta, tuląc do matczynego łona małego chłopczyka. Jéj wyniszczona postać czyniła ją raczéj do pośmiertelnéj aniżeli do żyjącéj istoty podobną. Pomimo, że oczy swoje błagalnie do zagniewanego wznosi nieba, nie było w nich widać ani cienia trwogi i bojaźni o życie; ona błagała za tych, dla których życie tak wielką jeszcze wartośc miało, że na zbliżenie się śmierci wydawali jęki rozpaczy. Téj milczącéj pośród niebezpieczeństw spokojnéj kobiety nie przestraszy nawałnica morska, ona już okropniejszą burzę życia przetrwała.

„Ty razem zemną zginiesz, nie zostawię cię sierotą, nie poznasz świata i jego goryczy!“ Te były jedyne wyrazy, które w chwili największego niebezpieczeństwa do dziecięcia swojego wyrzekła.

Burza ustała, promienie słońca ćmy złowieszcze przedarły, ostatni ryk morza przeszumiał, olbrzymie bałwany zmalały, a wiatr łagodny igrał tylko z bielącemj się stertami piany, co długo jeszcze zmącona pokrywała Oceanu powierzchnię.

Dziękczynne modły unoszą się ku błękitom pogodnego nieba, i Marya się modli; patrzy na swojego syna, a jéj myśli pzebiegają przestrzń niezmierną, zwiedzają jéj kraj rodzinny! — „Tam spocznę w ziemi ojców moich!” Luba rzewność owiała rysy, schyliła głowę. — „Ciebie oddam w opiekę bratu” i łza rozczulenia spłynęła na czoło Kazia, który z miłością dziecięcą do jéj przytulił sie łona.

Dokończenie nastąpi.

Rozmaitości.

— Fatalny wypadek stał się ministrowi Rouher w Paryżu; gdy bowiem na jednem z ostatnich posiedzeń ciała prawodawczego odpowiadał na sławną mowę Thiersa o finansach, wypadła mu nagle wprawiona szczęka z ust. Oczywista, że zgromadzenie nie mogło się wstrzymać na ten widok od ogólnego śmiechu.

Nakładem i pod redakcyą Waleryana Kurowskiego. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha.